

## RECENZJE

Bernadetta Darska

## Zadanie do wykonania

“Amatorki” Elfriede Jelinek jest książką składającą się z dwóch historii miłosnych. To równoległe prowadzona opowieść o dwóch kobietach, które pragną zaznać miłości i zanurzyć się w jej bezpiecznych fluidach. Czyżby więc Jelinek zafundowała nam romans? Czy “Amatorki” to harlequinowa historia jakich wiele spod hasła “poznali się, pokochali, żyli długo i szczęśliwie”? Oczywiście jest, że nie spodziewamy się tego po austriackiej pisarce. I słusznie. Jelinek funduje nam bowiem misternie skonstruowany antyromans. W tej prozie liczy się każdy słowo, zmieniony szyk zdania, rozłożenie akcentów na poszczególne słowa, powtórzenia. Wszystko niesie ze sobą jakieś znaczenie. Nic nie dzieje się przypadkiem.

Powieść Jelinek zaczyna się niczym bajka, ale już od początku przeczuwamy, że bajka to mroczna, prawdopodobnie ze złym zakończeniem. Bajka staje się przypowieścią. Narrator wie, co się wydarzy, wie, czym się to skończy, z zadziwiającą przyjemnością odprawia jednak misterium wiwiskcji kobiecej psychiki, której miłosne strategie powtarzane są z pokolenia na pokolenie. Narrator Jelinek to śledczy, który tropi ślady systemowego uwikłania w prywatności. Zapis jego obserwacji składa się ze zdań prostych, krótkich, maksymalnie komunikatywnych. Notuje jedynie fakty, także wówczas gdy dotyczą intymnej sfery uczuć. Nawet w emocjach nie ma tu bowiem indywidualnej historii, wszystko dzieje się wedle historycznego niemal planu, gdzie kobieta zatraca się dla mężczyzny, bo takie jest jej przeznaczenie i taki jest jej społeczny obowiązek. Rytuał stawiania się ofiarą jest więc wpisany w los kobiety.

Jelinek pokazuje odmienność egzystencji kobiecej i męskiej. To dwa światy, które, gdy się spotykają, wcale nie burzą wzajemnej obcości. Efektem takiego spotkania mogą się stać jedynie zawiedzione nadzieje kobie-

ty. W “Amatorkach” czytamy: “jeśli ktoś dysponuje losem, to mężczyzna. jeśli kogoś dotyka los, to kobietę” (s. 7). Kobieta staje się więc bytem od początku skazanym na porażkę, jakiegokolwiek działania bowiem nie podejmie i tak ma przeciwko sobie los, który uderzyć może w najmniej spodziewanym momencie. Nie ma więc żadnych szans.

Kobieta u Jelinek musi ciągle pracować. Jej podstawowym zadaniem jest bowiem zdobycie miłości i mężczyzny. Romansowa struktura małżeństwa staje się podstawowym punktem odniesienia, ale aby dostać nagrodę w postaci małżeńskiego życia, kobieta powinna najpierw wykonać mozolną pracę. Co więcej, musi się bardzo mocno postarać. Od tego zależy bowiem jej przyszłość. Kobieta zameżna to kobieta naznaczona pozytywnie, wszystkie inne funkcjonują na marginesie, są gorsze, bo nikt ich nie wybrał, a raczej one na nikogo nie zapracowały. Leniwe samice nikogo nie interesują. Uczucie zostaje zatem uwikłane w mieszanek obowiązków, pracy i konieczności.

Historie dwóch kobiet przeplatają się wzajemnie. Początkowo ich los jest zupełnie różny. Paula to młoda dziewczyna, zaledwie piętnastoletnia, idealistka, która marzy o lepszym życiu. Mieszka na wsi i chce uciec od patologicznej rodziny, gdzie króluje alkohol i ojcowski rygor, chce żyć inaczej, zaczyna uczyć się krawiectwa. Brigitte pracuje w fabryce i szyje biustonosze, mieszka w mieście. Czytamy: “pewnego razu Brigitte postanowiła, że będzie już tylko kobietą, wyłącznie kobietą dla takiego jednego, co ma na imię heinz”. Ma więc zadanie do wykonania: spowodować, aby mężczyzna właśnie ją chciał poślubić. Naturalnym stanem rzeczy jest niższość kobiety, on jest kimś, ona jest nikim. Kobiet się używa, ale te używane są już towarem nadpsutym, mało chod-

DOKOŃCZENIE - STR. 2

## RECENZJE

Anna Rau

## Dlaczego Elfriede Jelinek nie może spać?...

“Elfriede, Jelinek mój, jelonku - śpiewa mama, czesząc jasne włoski córeczki. - Będziesz słodką, grzeczną dziewczynką. Wyrośniesz na dobrze ułożoną małą Austriaczkę, i wszyscy będą cię chwalić za to, że jesteś taka dobra, miła i pracowita”. “Tak, mamusiu” - odpowiada sennym głosem mała Elfriede, malutki jelonek tatusia-naukowca. I zasnęła w miękkiej pościeli w niebieską kratkę, przytulając do twarzy wysłużonego misia. Na bielutkiej ścianie dziecięcego pokoiku tańczy cień gałazki zza okna, zagłąda księżyc o kształcie zakrzywionej szabli. Tylko dlaczego ślicznej Elfriede ciągle śnią się ożywione noże? Dlaczego budzi się, piszcząc jak myszka, bo znów widziała okrwawione nogi - Bogu dzięki, nogi były same, bez właściciela, i chodziły sobie, chodziły w kółeczko, zostawiając brzydkie ciemnoczerwone ślady... Elfriede zasypia. Czemu ten pan tak krzyczy?.. Taki przystojny ten pan, jak tatuś...

Elfriede jest dobrą uczennicą, ma piątki za wypracowania, ale źle sypia... Przez całe życie źle sypia... Dlaczego? Jako urodzoną w 1946 r., trauma wojenna jej nie ogarnęła. W domu - odkąd pamięta - panował dostatek (dziadkowie byli wiedeńskimi mieszczanami), a rodzice nie żalowali pieniędzy na dość ekskluzywny rozwój licznych uzdolnień (nauka gry na pianinie i organach, potem słynne wiedeńskie konserwatorium). Studia na kierunku historia sztuki, udany debiut literacki oraz jego kontynuacja. Możliwość działania w studentckim (później zaś partyjnym) ruchu lewicowym. Niemało nagród literackich. Doświadczenia intelektualne w Berlinie i Rzymie. Udane małżeństwo z Gottfriedem Huengsbiergiem. Pewna popularność (co prawda jako pisarki “kontrowersyjnej” - “uprawia pisarską pornografię!” - ale jednak), utworzenie uznanego - swoistego - “nowego” stylu pisania (płynne przepływanie jakości

prozy, poezji i dramatu). Przyznanie budzącego dumę statusu oficjalnej “wojującej feministki” Austrii. Udana (czytaj “głośna”) ekranizacja powieści “Pianistka”, liczne inscenizacje. Literacka Nagroda Nobla w 2004 roku, uzasadniona przez Szwedzką Akademię opiniami typu: “proza i poezja w jednym” czy “zakłęcie i hymn”.

Dlaczego Elfriede źle sypia?... Czy dlatego płodzi wciąż nowe, przerażające swym wyglądem, literackie dzieci-potworki? Czy jest aż tak bardzo wrażliwa, że nawet tabloidalny news o nastolatku, mordercy swojej rodziny, zmusza ją do “wypisania” swego strachu przed światem na wiele, wiele kartek? Podobno właśnie taki bodziec - autentyczna makabreska z za rogu anno Domini 1965 - zainicjował “Wykluczonych”, chłodne studium zwierzżenia młodego człowieka. W tej powieści bowiem bombarduje nas werbalnie opis psychologii i działań bandy czworga nastolatków. Lata pięćdziesiąte. Różnicowanie środowisk młodocianych, wspólne kłopoty i patologie rodzinne. Przewidywalne tragiczne zakończenie. Ten tytuł symboliczny - i pretensjonalny! Biedni “wykluczeni”! - biedni młodzi mordercy, skrzywieni widywaną w domu patologią, sadyzmem ojców i potulnością matek, biedni - bezskutecznie poszukujący wartości i sensu życia w aktach agresji i seksie. Precz z kapitalizmem, nieludzką polityką i przesadami społecznymi! Prawdą jest, co podkreśla Akademia Szwedzka, iż cechą językową owej powieści, jak i ogółu twórczości Jelinek, jest “porzucenie tradycyjnych dialogów na rzecz swego rodzaju polifonicznych monologów, które nie służą określaniu ról, lecz umożliwiają równoczesne słuchanie głosów z różnych poziomów psychiki i historii”, czyli mnogość monologów w jednym - i to jest ciekawe. Trudno jednak spokojnie czytać

## Zadanie do wykonania

DOKOŃCZENIE ZE STR. 1

liwym. Kobiety się zużywają, wtedy nie są już w ogóle towarem godnym zainteresowania. Małżeństwo jest formą nobilitacji, ale i skazaniem na obumieranie. Rozczarowane matki, które po ślubie nie zasnęły niczego dobrego, prócz ciężkiej pracy, razów od męża i kolejnych porodów, z perfidią i dziwnym rodzajem zadowolenia skazują córki na ten sam los, przygotowują je do męczarni, z zadowoleniem myślą: "ona nie będzie mieć lepiej niż ja". Rytuał kobiecego umierania kulturowany jest więc przez same kobiety, to one najmocniej pilnują tego, aby w najmniejszym stopniu nie zostały naruszone fałszywe tradycje. Los kobiet odbywa się więc według cyklicznego skazywania na śmierć, kolejna ofiara to kolejny cykl: "i tak z biegiem lat powstał naturalny cykl: rodzisz się, wchodzisz, wychodzisz za męża, i znów wychodzisz, rodzisz córkę, gospodynię domową lub sprzedawczynię, częściej gospodynię domową, córka wchodzi, matka wyciąga kopyta, córka wychodzi za męża, wychodzi, zeskakuje ze stopnia, rodzi następną córkę, w spółdzielczym sklepie dokonuje się naturalny cykl natury, w sklepowych owocach i warzywach odbijają się pory roku, odbijają się ludzie. Życie w swych wielu środkach wyrazu, w jednej szybkiej wystawowej odbijają się uważne twarze sprzedawczyń, które się tu zgromadziły, żeby czekać na zamążpójście i na życie. zamążpójście przychodzi zawsze samo, bez życia. prawie nigdy w sklepie nie pracuje mężatka, chyba że jej mąż akurat nie ma pracy lub jest ciężko ranny. alkoholikiem jest zawsze. [...] dla kobiety to kres życia i początek rodzenia dzieci. kiedy mężczyźni pięknie męziejną i zaczynają się starzeć, i raczą się alkoholem, który ma ich wzmocnić i uchronić przed rakiem, to ich żony całymi latami są w agonii, czasem tak długo, że nawet są obecne przy agonii własnych córek. z czasem nienawidzą córek i chcą jak najszybciej zobaczyć również ich śmierć, którą same kiedyś przeżyły, dlatego: córki trzeba wydawać za męża" (s. 16-17). Konieczność związania się z mężczyzną i powtarzalność mało interesujących męskich typów rodzi w powieści Jelinek nienawiść między kobietami.

Jak już wspomniałam, początkowo Brigitte i Paula mają niewiele ze sobą wspólnego. Brigitte chce za wszelką cenę przestać pracować,

chce przywiązać do siebie Heinza, wszędzie wietrzy zagrożenie dla swoich planów. Paula pragnie się kształcić, mieć pieniądze i fach w rękę, by kiedyś, owszem, wyjść za męża, ale tak, aby jej los nie był powtórzeniem losu matki. W efekcie obie muszą żyć w paraliżującym lęku, czy mężczyzna, którego pokochały, zechce po nie sięgnąć. I Brigitte, i Paula pod wpływem mężczyzn przeddefiniują swoje podejście do życia. Romasowe wyobrażenie miłości zostaje skonfrontowane z obojętnością i brakiem zainteresowania ze strony mężczyzny. To kobiety zabiegają o to, aby model romansu wcielić w życie, mężczyźni ewentualnie korzystają z ich ciała, by sobie ulżyć, a następnie odejść do ważniejszych spraw. Obie chcą przywiązać mężczyznę przy pomocy dziecka. Miłość szybko przeraża się w nienawiść, a finalizacja wszystkiego w postaci ślubu jest raczej nagrodą za ciężką harówkę niż początkiem małżeńskiego szczęścia. Brigitte poprzez ciężkę osiąga swój cel - przestaje pracować, obrasta w piórka żony i matki, czuwa nad stadłem małżeńskim. Jelinek ironicznie pisze: "czy wy też jesteście wyposażone w macicę? mam nadzieję! na przykładzie brigitte widzimy, że nie pozwoliła temu ważnemu organowi żeńskiemu zmarnieć przy taśmie, a dzięki zmierniowi pozwoliła mu urosnąć do jego pełnej przydatności" (s. 154). Paula kończy o wiele gorzej - jej mężczyzna wcale nie chce się żenić. Jej mężczyzna nie interesuje się nią, kiedy w końcu do ślubu dochodzi. Jej mężczyzna okazuje zainteresowanie dopiero wtedy, gdy po należąco do niego towar sięgają obcy.

Tak, miejscowy towar - Paula jest używany przez mężczyzn z innej miejscowości. To budzi największe oburzenie. Paulę momentalnie wyklucza się ze społeczności. Odstawia się na półkę z napisem: "Rzeczy trujące i śmierdzące. Omijać z daleka". Dziewczyna za sprawą seksu po raz kolejny doświadczając stigmatyzacji - najpierw, gdy zaszła w ciążę, potem gdy zdradziła. Najpierw jest wzięta, potem odsunięta, znowu wzięta, w końcu wyrzucona. Jak mówi Jelinek: "ta powieść opowiada o przedmiocie paula" (s. 158). Dla Brigitte fabryka biustonoszy jest miejscem, z którego wyrwała się do swojego życia, dla Pauli miejscem, w którym kończy. Nic

te austriackie wydanie programu "997" jedynie z racji piękności krótkich, celnych zdań, przed którymi rzeczywiście w uznaniu trzeba schylić głowę. Ale! - ani pozytywna acz "naukowa" opinia szwedzkich Noblodawców - ów tak przez nich wychwalany brak mowy niezależnej, jest nieznośny! - ani owa swoista rejestracja groźnych i aktualnych wydarzeń i psychologii - nie przekonuje. Nadal uważam przyznanie Nobla Jelinek - za pomyłkę, a jej książki, za - delikatnie mówiąc - problematyczne. Może i - jednak spokojnie, jak chciała jej matka - wyrosła z grzecznej i obiecującej panienki na w pełni spełnioną twórczo i godną zazdrości kobietę, ale owo spełnienie rekompensuje treścią swych "głośnych" utworów. Koneserzy twórczości Jelinek powołują się między innymi na dogłębność i quasi zaangażowanie w kształtowaniu plastyczności opisów z zakresu różnego typu patologii, ona sama zresztą to potwierdza i jakby się tym szczyci: "Dziwi mnie, że literatura kobieca nie jest bardziej nasycona przemocą. To upokorzenie, jakim jest pisanie utworu, który - by sformułować to z pewną przesadą - z góry ska-

zany jest na pogardę, wywołuje we mnie agresję, którą bardzo dobrze potrafię potem rzutować na moje postaci. (...) Dlatego tak bardzo interesuję się przypadkami kryminalnymi - w końcu wszystkie moje powieści to także powieści kryminalne". Jednakże owo odkrywanie i analiza mechanizmu działania młodocianego przestępcy (- w przypadku "Wykluczonych", co też potwierdza regułę-klucz jej twórczości), odtwarzanie genezy i fatalnych - nieskończonych - skutków jednostkowej zbrodni, wewnętrznego świata człowieka uzależnionego od agresji, uwiecznili już wcześniej w sposób mistrzowski Dostojewski w "Zbrodni i karze", czy choćby Agatha Christie w cyklu o Hercule Poirot... Kończąc: ja wiem jedno - nie chcę mieć tytułowych kłopotów po lekturze powieści E. Jelinek! Nigdy więcej!

### Anna Rau

Elfriede Jelinek,  
Wykluczeni,  
przeł. Anna Majkiewicz i Joanna Ziemska,  
Wyd. W.A.B., Warszawa 2005.

już nie będzie tak samo, nic już w ogóle nie będzie, wszystko, co miało być, już było: "paula już gdzieś indziej przeżyła swój los. tu jest jego koniec" (s. 191).

Pamiętamy jednak aż nadto, że tak łatwego końca nie ma, że brutalne uderzenie losu to fatum ciężące nad kobietą. Gdzieś świta myśl, że przecież Paula ma córkę, a skoro jest córka, to wiadomo, że zostanie wytresowana do kobiecego szablonu. Marzenie o miłości, miłość do mężczyzny, odepchnięcie, niechciana ciąża, praca, tresura, nienawiść i znowu to samo, jak było za czasów babki, prababki, jak będzie za czasów wnuczki, prawnuczki. Wobec społecznego przymusu małżeństwa kobieta zawsze jest amatorką. Kiedy pierwszy raz zmierza się z życiem, uderzenie w twarz boli, kiedy życie sprawia łomot po raz kolejny, chce się tylko jednego - żeby inni mieli tak samo, że ich tak samo bolało. Kobiety - amatorki miłości, amatorki małżeństwa. Amatorki, które nie umieją rozpoznać, że ktoś inny za nie decyduje, że kiedy wypracowują sobie miłość, ktoś nad nimi stoi z karcącym batem. Amatorki społecznego wzorca: matki, żony, gospodynie domo-

we. Nic dziwnego, że amatorki, wszak to przestrzeń publiczna daje etykietę profesjonalizmu. One zamykają się w przestrzeni prywatnej, amatorskiej, banalnej, nic nieznaczącej. One są zamknięte, są więzione, są kneblowane od małego. Jeszcze w kołysce śpiewa im się kołysanki: "miłość - małżeństwo - dziecko, miłość - małżeństwo - dziecko". To musisz mieć, aby BYĆ.

### Bernadetta Darska

Elfriede Jelinek, Amatorki,  
przeł. Anna Majkiewicz i Joanna Ziemska,  
Wyd. W.A.B., Warszawa 2005.

# Trzydzieści lat bez druku...

W średniowieczu "teologowie chrześcijańscy ustalili moment pojawienia się w płodzie duszy, uznając, że jest to 40. w przypadku chłopców i 80. w przypadku dziewczynek dzień od zapłodnienia (XIII wiek). Constitutio Criminalis Karolina, sądowa ordynacja karna wydana za panowania cesarza Karola V w 1532 roku, za moment ożywienia płodu przyjmowała pierwsze poruszenie, które odczuła matka. W roku 1588 w bulli "Effraenatam" ("Bez ograniczeń") papież Sykstus V potępił formalnie aborcję (i antykoncepcję), niezależnie od stadium ciąży, w którym zostaje przeprowadzona, uznając ją jednocześnie za grzech śmiertelny i zbrodnię zasługującą na najcięższą karę" (s. 93). Potem, w ciągu kolejnych stuleci zmieniały się hasła, pojawiło się pojęcie aborcji medycznej, zrównano przerwanie ciąży z najcięższymi zbrodniami - problem pozostawał nierozwiązany... Cieniutka książeczka Simone Veil "O prawo do aborcji" to przemówienie z 1974 roku. Tekst ukazał się drukiem trzydzieści lat później (wersja polska w 2005 roku) i został uzupełniony rozmową Annick Cojean z autorką projektu ustawy.

"Ustawa Veil"<sup>1</sup> to jedna z niewielu propozycji dopuszczania przerywania ciąży na życzenie kobiety. Jej autorka próbowała zmienić świadomość Francuzów (może też Europejczyków). Obalała mity demograficzne. Pokazywała zagrożenia społeczne i za każdym razem podkreślała, że aborcja to nie tylko problem społeczny, ale także dramat jednostki kobiety.

Veil unika dyskusji naukowej czy filozoficznej na temat poczętego dziecka, uważając problem za nierozwiązywalny. "Obecnie już nikt nie podważa faktu, że - z czysto medycznego punktu widzenia - zarodek zawiera w sobie potencjalnie wszystkie cechy ludzkiej istoty, którą może się stać. Lecz z drugiej strony zarodek ma jeszcze przed sobą wszystkie stadia rozwoju i musi przezwyciężyć jeszcze wiele przypadkowych trudności, zanim jego ewolucja dobiegnie kresu; stanowi przecież zaledwie jedno z wielu ogniw łańcucha życia". (s. 21) Argumentem są także samostne poronienia w ciągu dwóch

pierwszych tygodni ciąży.

Autorka ustawy nie proponowała jednak łatwych rozwiązań. Uwrażliwiała na wnikliwą analizę warunków, jakie powinny być spełnione, aby przerwanie ciąży było dozwolone. Na lekarzach powinien więc spoczywać obowiązek informowania kobiet o ryzyku zdrowotnym związanym z przerywaniem ciąży. Organizacje społeczne powinny natomiast uświadamiać kobiety i udzielać pomocy najbardziej potrzebującym. "Przerwanie ciąży może być przeprowadzone jedynie we wczesnym jej okresie, ponieważ fizyczne i psychiczne zagrożenia niesione przez tego typu zabieg nie są nigdy zerowe, a po upływie dziesiątego tygodnia od zapłodnienia stają się zbyt poważne, by można było pozwolić sobie na to, aby narażać na nie kobiety". (s. 28)

Veil, co wydaje się najważniejsze, apeluje o maksymalne bezpieczeństwo, bo celem projektu jest nie tylko zmiana przepisów, lecz także ochrona kobiety. Ustawa jest wynikiem refleksji nad każdym aspektem aborcji. Veil proponowała zresztą, by obowiązywała przez 5 lat, a po upływie tego czasu Parlament powinien wypowiedzieć się jeszcze raz w tej kwestii.

Autorka ustawy podkreśla, że w każdej epoce i cywilizacji kobiety usuwały ciążę i zawsze było to ogromną hańbą i wstydem. Teraz to także problem kobiet. "Problem, za który odpowiedzialności nigdy nie ponoszą mężczyźni. Udzielanie pomocy i wsparcia czy też obdarzanie zrozumieniem kobiet znajdujących się w trudnym położeniu zawsze stanowiło rzadkość". (s. 40)

Veil przypomina procesy kobiet skazanych na śmierć za dokonanie aborcji. Przypomina też koniec lat sześćdziesiątych, kiedy zabiegi przerywania ciąży były we Francji bardzo rozpowszechnione i "dotyczyły wszystkich środowisk społecznych, wszystkich regionów, kobiet w każdym przedziale wiekowym i prowadziły do zgonu przynajmniej trzystu kobiet rocznie, nie mówiąc o tych, które w ich wyniku stały się bezpłodne bądź zostały poważnie okaleczone". (s. 48) Większość tych zabiegów była przeprowadzana przez osoby do tego nieuprawnione, bez

przygotowania medycznego i w prowizorycznych warunkach.

Przełomem okazał się "Manifest 343 kobiet" opublikowany 5 kwietnia 1971 roku przez tygodnik "Le Nouvel Observateur", w którym kobiety przyznały się publicznie do dokonania aborcji. Była wśród nich Simone de Beauvoir i Catherine Deneuve. "Stawiły czoła społeczeństwu, przyjmując na siebie hańbę, którą ściągала na siebie kobieta dokonująca zabiegu przerywania ciąży". (s. 52). To była prawdziwa rewolucja obyczajowa.

Kolejną zmianą było przegłosowanie ustawy aborcyjnej Veil (184 głosy za/ 90 przeciw) i wprowadzenie na rynek francuski w 1988 roku pigułki RU 486 do tej pory nie akceptowanej w Polsce. Ustawa zyskała więc kontekst społeczno-medyczny (tak na marginesie, to idealnym kontekstem dla ustawy Simone Veil jest książka Kazimierza Szczuki - "Milczenie owieczek"). Dyskusja o aborcji trwa nadal. To także debata o pomocy społecznej, zasiłkach i wsparciu, jakiego kobieta może oczekiwać od władz. To wydarzenia, które miały miejsce w Polsce: marsze protestacyjne, brak zgody na wpłynięcie Langenoru - holenderskiego "statku-kliniki" (22.06.2003), bezczelne zachowanie przedstawicieli Młodzieży Wszechpolskiej, jednoznaczne wypowiedzi przedstawicieli kościoła, obrzucenie kamieniami (też Wszechpolacy) Marszu Tolerancji (7.05.2004). A wszystko pod szczytnymi hasłami - pro-life i pro-choise.

Jednakże Simone Veil wygrała. Wygrały francuskie kobiety. W 2001 roku miała miej-

sce reforma jej ustawy. Kolejna "przedłuża okres, w którym dozwolone jest przeprowadzenie zabiegu aborcyjnego, z dziesięciu do dwunastu tygodni oraz zezwala małoletnim na przerwanie ciąży bez zgody rodziców w towarzystwie dowolnie wybranej przez siebie osoby dorosłej". (s. 97) W roku 2004 Philippe Doustne-Blazy ogłosił dekret "dopuszczający przeprowadzenie aborcji farmakologicznej w warunkach domowych" (s. 98).

Aborcja, obok eutanazji to najbardziej trudny i kontrowersyjny problem współczesnych cywilizacji. Cywilizacji, które są coraz bliżej najbardziej odległych planet, a coraz dalej od człowieka. Tadeusz Różewicz w wierszu "recycling" pyta:

"Skąd się bierze zło?

Jak to skąd

z człowieka

zawsze z człowieka

i tylko człowieka..."

Być może gdybyśmy odrzucili egoizm i zło, a pozbawione jakości życie poddali refleksji społecznej i moralnej to "ziemia odzyskałaby swój blask i urodę" (T. Różewicz).

## Anita Frankowiak

Simone Veil,

O prawo do aborcji. Przemówienie z 26 listopada i rozmowa z Annick Cojean, przeł. i przypisami opatrzył Sławomir Królak, Wyd. Sic!, Warszawa 2005.

<sup>1</sup> W nocie biograficznej dołączonej do książki czytamy między innymi, że S. Veil w 1957 roku mianowana została w Ministerstwie Sprawiedliwości w rządzie francuskim sędzią w dziedzinie administracji penitencjarnej. W 1959 roku została członkiem Międzynarodowego Towarzystwa Kryminologicznego. W 1964 roku powołana przez M. Foyer do zredagowania projektu ustawy o adopcji. W 1969 roku była doradcą technicznym w gabinecie Rene Plevena i ministrem sprawiedliwości. Od 1976-1979 minister zdrowia i opieki społecznej. Od 1979-1984 była Przewodniczącą Parlamentu Europejskiego. W latach 80-tych i 90-tych minister stanu, członek niezależnych komisji, przewodnicząca Fundacji Pamięci Shoah. (A.99-102)

# Lustreczko dr Lindy

Książka brytyjskiej psycho-terapeutki dr Lindy Papadopoulos pt. "Lustreczko, powiedz przecie... Rewolucja w myśleniu o własnym wyglądzie" opisuje gorący temat dla współczesnych kobiet (i trochę mężczyzn, bo facet "tu" jest traktowany marginalnie) dotyczący ich powierzchownego wizerunku, czyli urody.

Dr Linda zamyka temat wyglądu w ośmiu rozdziałach i sprowadza ten problem do "najważniejszych" dziedzin życia. A mianowicie do jedzenia, zakupów, związków z mężczyznami, pracy i operacji plastycznych. Wszystkie te "discypliny" życiowe, według pani doktor, rzutują na postrzeganie naszego ciała i złego lub dobrego samopoczucia z własnej aparycji. To, czy w dzieciństwie nam dokuczano z powodu okularów na nosie i rudych włosów, czy pierwszy chłopak, w którym się kochałyśmy potajemnie przez całą podstawówkę, wyśmiał publicznie nasze krzywe nogi, rodzi kompleks brzydoty ciała i powoduje patrzeć w lustro przez pryzmat docinków i uwag od obcych i bliskich nam ludzi przez całe życie. I zdaje się, że bez "przełomowej" książki Papadopoulos, nigdy nie spojrzymy na siebie inaczej niż jak na brzydką kaczkę.

"Rewolucja w myśleniu o własnym wyglądzie" dr Lindy polega na odkryciu we własnej psychice barier, nieprawidłowego postrzegania i pokonania siebie, przez wstawianie sobie codziennie do tytułowego "lustreczka", że mamy piękną twarz, mimo krzywego nosa, piękne uda i piersi, mimo pomarańczowej skórki i rozstępów. Ponadto dr Linda proponuje do każdego rozdziału zestaw ćwiczeń, których nazwa kojarzy mi się raczej z jedzeniem w barze szybkiej obsługi, bo są to tzw. "zadania na wynos", niż z psychologicznymi instrukcjami, jak sobie pomóc w lepszym postrzeganiu siebie, np. "(...) Masz zadośćuczynić ciału - zrób dla niego coś miłego. (...) Weź długą kąpiel z pianą, idź na sesję masażu do profesjonalisty, albo zafunduj sobie manicure(...); albo "(...) Nie oczekuj cudu w jedną noc, po której pokochasz wszystko, co następnego dnia zobaczysz w lustrze - ale wiem, że jeśli przez

jakiś czas będziesz spoglądać na siebie trzeźwo (???) i podważysz negatywne przekonania, to docenisz siebie jako osobę i nauczysz się lubić swoje ciało. Teraz idź do sklepu i kup sobie bieliznę, której inaczej nigdy byś nie kupiła (...)". Jakie to proste i jakie przyjemne jest "rewolucyjne" myślenie dr Lindy o naszym niedoskonałym wyglądzie. Wystarczy zrobić listę tych części ciała, których nie lubimy, wziąć pachnącą kąpiel, z której się narodził jako piękna Wenus, a potem kupić seksowne majtki i gotowe! Dr Linda uleczyła swoje brzydkie czytelniczki, magiczną różdżką "rewolucyjnego" tekstu. Nie sądzę, żeby na taką poprawę złego nastroju, z powodu jednodniowego poczucia nieatrakcyjnego wyglądu, nie wpadła każda normalna kobieta. No cóż, psychoterapeutka Papadopoulos potrzebowała na to lata przeprowadzonych badań nad pacjentkami, żeby dojść do takich wniosków.

Między przydługimi, monotematycznymi poradami i rozważaniami pani doktor na temat cudzych kompleksów, przeplata się wątek "fabularny", który nieco ożywia tekst i daje nadzieję na coś "rewolucyjnego" (ponownie używam tego epitetu) w książce dr Lindy. Otóż do każdego rozdziału, zgodnie z tematyką, jest dołączona, pochyłym piśmem, krótka, acz treściwa, historyjka z życia pulchnej, młodej kobiety. Sarah pełni tu funkcję zakompleksionego brzydkiego kaczątka, którego problemy typu "nie mam co na siebie włożyć", "nienawidzę mojej chudej koleżanki" czy "nie mogę schudnąć mimo stosowania setnej diety" chyba najlepiej oddały realizm kłopotów z własnym ciałem czytelniczek dr Lindy. Po przytoczeniu fragmentu z życia Sarah, która na przykład nie może zdobyć się na odwagę poderwania przystojnego kolegi z pracy, wkracza więc ze swoimi wskazówkami i ćwiczeniami psychoterapeutka.

Historyjki o Sarah są dość ciekawe, nawet momentami zabawne, choć są ewidentną kalką opowieści o Birdget Jones. Wszystko byłoby w porządku w tych opowiadaniach, gdyby nie ujawniła się w nich osobowość dr Lindy. Autorka musiała przecieć, na podstawie swo-

ich długich badań nad pacjentkami, udowodnić własną rację o niezbędności patrzenia w przysłowiowe lustreczko z zadowoleniem z własnego wyglądu, co zaowocowało uzdrowieniem w dwóch czy trzech rozdzielach kompleksów Sarah.

Właściwie nie wiadomo, z jakich dokładnie przyczyn Sarah budzi się następnego dnia i kocha całą siebie. Po spotkaniu z matką, która wstrzyknęła sobie w twarz jad kiełbasiany dla odmłodzenia cery, Sarah doznaje olśnienia na temat własnego wyglądu. Nieważne, że przez całą książkę miała obsesję na temat swoich grubych ud i dużego zadka, co nie pozwalało być jej nawet miłym dla faceta, której jej się podobał. Niespodziewanie (niczym w marnej produkcji rodem z Hollywood) Sarah ubiera się w różowy sweter, który dotąd lądował na dzień dzisiejszy, bo był przymały, stwierdza sama przed sobą, że jej pupa wcale nie jest taka duża i zaprasza przystojniaka, w którym się wstydliwie podkochuje, na randkę. Na tę propozycję, dotąd obojętny kolega z pracy, prawie jej się rzuca na szyję i niemal wyznaje jej miłość. Po prostu dr Linda "udowodniła" skuteczność swoich porad i zadań na wynos. Książka, której tytuł jest zaczerpnięty z bajki o Królownie Śnieżce, w samym zamierzeniu jest dobra. Tylko sposób przedstawienia problemu o postrzeganiu siebie jest nazbyt prosty, oczywisty i trochę infantylny. Pewnie tak ma być, bo jest to lektura stricte poradnikowa, a więc ma być zrozumiana przez masę i docierać do "prostego" ludu, płci żeńskiej zwłaszcza.

Sama Linda Papadopoulos wydaje się być sympatyczna i życzliwie nastawiona do słabości czytelniczek - pacjentek. Łatwo jej dawać rady o akceptacji własnej urody, bo, jak widać ze zdjęcia na tylnej okładce, jest szczupłą, atrakcyjną blondynką.

Dr Linda nie wzbudziła we mnie zaufania i autorytetu doktora psychoterapeuty, bo przy swoim natarczywym (choć na pewno w dobrej wierze), do znudzenia powtarzaniu "kochaj siebie, nieważne jak wyglądasz i ile masz lat, bo piękno i młodość tkwią w twojej głowie, trzeba je wydobyć i pokazać światu", popełniła gafę, za którą mogą się obruszyć niektóre czytelniczki. Otóż na stronie 245, gdzie pisze o przekazywaniu mitu w mediach, nazywa kobiety pięćdziesięcioletnie "babciami", choć wiele pań w tym wieku udowodniło, że są o wiele atrakcyjniejsze od niejednej trzydziestoletniej. Przykładowo Grażyna Szapołowska czy Kora stanowią koronny dowód na to, że można być naprawdę piękną w każdym wieku.

Książkę o "lustreczku" polecam nastolatkom, które w wieku dojrzwania mają duże problemy z właściwą oceną własnego "ja" i zaburzony często obraz swojej młodej urody. Może dr Linda chociaż młodzieńki kobietki czymś zaskoczy.

**Magdalena Ludwiczak**

Linda Papadopoulos,  
Lustreczko powiedz przecie...  
Rewolucja w myśleniu o własnym  
wyglądzie,  
tłum. Małgorzata Cierpisz,  
Wyd. Znak, Kraków 2005.

## Niewesoła transformacja. Dramat polityczny w świecie gratisów

"Słuchajcie muszę wam coś powiedzieć, więc zabrałem was na tą pizzę bo coś się stało u mnie w pracy. Zwolnili mnie i jestem bezrobotny. Pół zakładu zwolnili w ramach zwolnień grupowych, coś tam obiecują, ale nie wiadomo jak będzie. Ale nie jest tak źle bardzo bo dostałem odpłatę i dlatego mogliśmy tu przyjść dzisiaj" - dramatyczne wyznanie zwolnionego z pracy robotnika zyskuje nowe, jakże

absurdalne, znaczenie. Pada przecież w pizzerii, kapitalistycznej placówce dyplomatycznej zlokalizowanej w dekomunizującym się społeczeństwie i rynkowo kraju, w której ambasadorem, zwiastunem przemian jest butelka coca coli. Mający zagwarantować poczucie luksusu produkt, zamiast orzeźwiać, otrzeźwia. Otwiera oczy tym, którzy nie wierzą, iż nowe, lepsze, efekt ich walki i oporu, oznacza grupowe zwol-

nienia, hiperinflację oraz czyni wszelki potencjalny, społeczny sprzeciw bezzasadnym. Jak bowiem przeciwstawiać się gospodarce rynkowej?

Zacytowany powyżej fragment pochodzi z dramatu Pawła Demirskiego "Wałęsa. Historia wesoła, a ogromnie przez to smutna". Tekstu, którego czas fabularny zbiega się z historycznym okresem przemian, zapoczątkowanych przez robotników upominających się o prawo do godnego życia, wynagrodzenia, czyli postulatów, które przerodziły się w żądania zapewnienia swobód obywatelskich i doprowadziły do powstania zrywu solidarnościowego, będącego ewenementem w skali światowej. Potrzeba solidarności międzyludzkiej to w odniesieniu do podtytułu historia wesoła. Ogromnie przez to smutna być zaczyna w nawiązaniu do zacytowanego fragmentu. Beneficjentami przemian zostali przecież wybrani. Wybrani najpierw przez społeczeństwo, potem wybierali się już sami, zaludniając sobą wszelkie możliwe rady nadzorcze i spółki. Tworząc w ten sposób kastę uprzywilejowanych.

Paweł Demirski stara się odwrócić historię człowieka, który stanął na czele "Solidarności" - Lecha Wałęsy, w kontekście wątków towarzyszących. Nawiązuje tym samym do utrwalonych w pamięci czytelników i widzów obrazów telewizyjnych ze Stoczni imienia Lenina. Traktuje je jednak jak płaskie, kartonowe dekoracje mające imitować rzeczywistość. Wprowadza odbiorcę za kulisy, zdradza tajemnice tego, co na zapleczu. Spektakl, który toczy się z dala od oczu widza, zdaje się być znacznie ciekawszy od oficjalnego. Okazuje się wtedy, iż robotnicy dalecy byli od roli, którą przypisała im reszta obywateli. Ich cel to symboliczne 1500 złotych: godność i ułuda wolności, spokój i bezpieczeństwo, zamknięte przez aparat komunistyczny w bilecie płatniczym, zupełnie bezwartościowym. Jaka jego wartość nabywca: dłuższa kolejka? ["dzięki 1500 złotych zapiszesz się na jeszcze jedną listę w kolejce po meble?"] Większa nadzieja na zdobycie towaru podstawowego, urastającego do rangi luksusu? Losy społeczeństwa marzącego o normalności o zwykłości, o tym jak powinno być, a nie jest, są tylko częścią historii.

Po drugiej stronie barykady znajdują się również "ludzie pracy", towarzysze, aparatczycy. Cyniczni, pozbawieni kręgosłupa

moralnego, z nalanyimi twarzami, spoconymi szycjami, myślami krążącymi po dostępnych klasie rządzącej kurortach krajów demokracji ludowej.

Smutek i wesołość zderzają się ze sobą podobnie jak pytania z marzeniami: "Gdzie są brzoskwinie i rakija i arbuzy a młode aktywistki przeznaczone specjalnie dla nas...", "w końcu przecież każdy jest tylko człowiekiem, nic wielkiego nie potrzeba, nic wielkiego się nie chce, chciałoby się wyjechać...". Marzenia są nieśmiertelne, czy o nich zatem "Historia", zdaje się, że nie. Istotą sztuki jest brak spełnienia, zaspokojenia nie marzeń, lecz dopełnienia człowieczeństwa. Człowiek przywykł marzyć o tym, co odległe, wielkie i, przez ową niedostępną wielkość, wspaniałe. Tu zaś mowa o fundamencie człowieczeństwa - o wolności. Stąd też odwołanie do ikon "Solidarności". Oprócz Wałęsy czytelnik styka się z Anną Walentynowicz, Andrzejem Gwiazdą i ich antagonistami Gierkiem, Jaruzelskim. Temu ostatniemu towarzyszy zagadkowa muzyka i atmosfera właściwa przewrotom wojskowym inspirowanym działalnością odległych geograficznie junt wojskowych.

Historia dotąd społeczna, tragicznie ludzka, przeistacza się w polityczną. Jej nadał dramaturg charakter karnawału, dziwacznej gry systemu komunistycznego ze zniewoloną jednostką. Reguły rozgrywki nie są jednak jasno określone, cel za to jeden. Towarzysze dążą do skorumpowania robotników, skorumpowania absolutnego. Przy czym władza im dana nie jest nawet namiastką absolutnej, a przywileje stanowią mają taksówki, obiady, znajomości. Ci, których pozyskać się nie da, będą łamani psychicznie i fizycznie. Łamię się zatem Wałęsę, oskarżając go o wszystko, o co tylko można, łamię jego żonę, przyjaciół.

System monopartyjny wypuszcza kontratak, definiując także otaczającą rzeczywistość. Służy temu wprowadzona do tekstu przez Demirskiego nowomowa. Język generuje konflikty, nonsensy. Ginie gdzieś istota, cel, jasny punkt. Podobnie z sensem sztuki, tekstu dramatycznego.

"Historia wesoła" zrodziła się blisko szesnaście lat po obradach okrągłego stołu. Trudno zatem wyjaśnić, co jest celem sztuki. Gdyby powstała przed rokiem 1989, z pewnością uznano by ją za manifest niepodległościowy, wpisujący się w atmosferę właściwą dramatom i teatrowi politycznemu, z typową dla

nego krytyką sfery językowej, dotyczącej zastosowań i funkcji języka, nie tylko jako środka wypowiedzi poetyckiej, lecz przede wszystkim jako narzędzia komunikacji międzyludzkiej.

Dramat Pawła Demirskiego byłby wówczas egzemplifikacją dramatu politycznego z odcieniem właściwego Mrożkowi absurdu, gdzie struktury językowe "unikają" posługiwania się pełnowymiarową fabułą. Wypieraną przez eksperymenty językowe, zbitki znaczeń, tragizm i komizm budujące groteskę, czyli cały (jak pisze Józef Kelera) "nowy alfabet", służący rozliczeniu ze stalinizmem, totalizmem. Politycznym konotacjom przeczy jednak determinujący opowieść Demirskiego kontekst historyczny. Dramat pojawia się w rzeczywistości gospodarki rynkowej, akcesji polskiej do Unii Europejskiej. Traci dlatego na sile wyrazu i rozpatrywany być może właśnie w kategorii karnawału. Karnawału historii, lub lepiej w kategoriach mody na peerel. Wówczas jugosłowiański namiot, mały fiat, ogonowa z Winiańska (niestety) podobny Wałęsie czy Annie Walentynowicz status. Jeśli odrzucić konteksty komunistyczno-ludowe i spuścić zasłonę milczenia na zdobycze "Solidarności", ich czołowe postaci oddać ocenie historii,

okaże się wówczas że "Wałęsa. Historia wesoła, a ogromnie przez to smutna" będzie tekstem uniwersalnym. Opowiadającym o sprzeczności, który nie był i nie jest związany z określoną opcją polityczną, lecz dotyczący sytuacji społecznej człowieka, zmuszonego przez bieg wydarzeń do ciągłego stawiania czoła przeciwnościom losu. Nieistotne jest wówczas, czy bohater dramatu to stoczniovec, robotnik, czy ojciec, gość kapitalistycznej, wolnorynkowej pizzerii. Ważna wówczas stanie się walka w obronie człowieczeństwa i niezbywalnych jego praw. Z tej jednak perspektywy zdaje się tekst Demirskiego niewyeksplorowany, pozabawiony pointy. Nie można bowiem czytelnie mówić o uniwersalizmie, tkwiąc głęboko w ściśle określonym historycznym kontekście. W podobnej sytuacji "Wałęsa..." będzie skamieliną dramatu politycznego bez wizji przyszłości, za to z gratisami masowo dołączanymi do każdego produktu.

#### Miłosz Babecki

Paweł Demirski, Wałęsa. Historia wesoła, a ogromnie przez to smutna, Wyd. Korporacja Ha!art, Kraków 2005.

## FILM

Sebastian Żurowski

# Napisz se recenzję! (Trudny wybór, reż. Istvan Szabo)

Od lat Węgier Istvan Szabo interesuje się w swoich filmach faszyzmem i tym, co w tym w tej ideologii mogło być pociągającego i fascynującego. Wokół tej tematyki obracały się najsłynniejsze filmy Szabo ("Mefisto", "Hannusén") i do niej powrócił w ostatnich kilku latach ("Kropla słońca", "Trudny wybór"). Jak się ostatnio okazało, sięgał on po takie tematy także z powodów osobistych.

"Trudny wybór" ("Taking Sides", 2001) to wariacja na temat możliwego przebiegu przesłuchania przez amerykańskiego oficera niemieckiego dyrygenta i kompozytora Kurta Furtwänglera. Kurt Furtwängler to postać przynajmniej tak samo zasłużona, co kontrowersyjna. Dla jednych jego zachowanie w czasie II wojny światowej

w latach ją poprzedzających to klasyczny przykład oportunistu i kolaboracji ze zbrodniczym systemem totalitarnym, a dla innych wzór tego, jak w podobnych okolicznościach powinien zachowywać się każdy wielki artysta.

Film Szabo jest oparty na sztuce Ronalda Harwooda. To determinuje jego kameralność. Ciężar filmu spoczywa na dwóch znakomitych aktorów: kompozytora gra Stellan Skarsgård, a surowego i szorstkiego amerykańskiego śledczego Harvey Keitel. Oczywiście nie chodzi w tym wszystkim o dokładne odtworzenie przebiegu procesu denazyfikacyjnego Furtwänglera. Celem filmu jest próba odkrycia ogólnego mechanizmu, który kierował nim i który kieruje ludźmi w takich sytuacjach.

W rzeczywistości amerykańska komisja oczyściła niemieckiego dyrygenta z wszelkich zarzutów i w 1947 roku powrócił na stanowisko szefa berlińskich filharmoników.

Faktem jest, że Furtwängler dzięki swojemu ustosunkowaniu uratował przed śmiercią wielu przyjaciół żydowskiego pochodzenia ze swojej orkiestry i członków ich rodzin. Faktem jest też to, że jeszcze w czasie wojny mógł z Niemiec wyemigrować do Stanów Zjednoczonych, ale zdecydował się pozostać w Europie. Trudno wejść w czyjąś psychikę i jednoznacznie powiedzieć, co kierowało danym człowiekiem. Prawdopodobnie Furtwängler w ogóle nie interesowało ani wspieranie Hitlera, ani ratowanie Żydów. On chciał w tym trudnym dla Niemiec i niemieckiej kultury okresie uratować przynajmniej niemiecką muzykę. Nie ratował Żydów - on ratował genialnych niemieckich muzyków. Oznaczało to, że w jego widzeniu świata ludzie także byli dyskryminowani i dzieleni na lepszych

i gorszych. Inne było tylko kryterium podziału. Taka postawa jest trudna do zrozumienia zwłaszcza dla osób, dla których kultura nie jest w życiu najważniejsza. Szabo, Harwoodowi i Skarsgaardowi udało się bardzo dobrze oddać złożoność natury bohatera.

Dosłownie kilka tygodni temu wyszło na jaw, że w latach pięćdziesiątych XX wieku młody Istvan Szabo tajnie i świadomie współpracował z węgierską służbą bezpieczeństwa. Reżyser tłumaczy się, że dzięki temu, iż podjął współpracę i przekazywał bezpieczeństwo fałszywe informacje, udało mu się uratować życie kolegi ze szkoły filmowej. Jakkolwiek było w rzeczywistości, jest to okoliczność, która rzuca zupełnie nowe światło na filmy reżysera. Okazuje się, że on sam mógłby być bohaterem podobnej opowieści. Być może poniekąd to właśnie on jest filmowym Kurtem Furtwänglerem. Podobnie sięganie po tematy związane z historią III Rzeszy jest de facto rozprawianiem się z historią samych Węgier. Współpracując z Niemca-

mi, Węgrzy sami tworzyli obozy dla węgierskich Żydów. Wprost te mało chlubne karty węgierskiej historii Szabo pokazał w epickiej "Kropki słońca" ("Sunshine", 1999). Wydaje się, że taka polityka państwa to rozwinięcie w skali makro modelu zachowań reprezentowanego przez Furtwänglera. Jesteśmy zbyt słabi, więc dajmy im, czego chcą, to pozwól nam na trochę więcej i - przede wszystkim - nas nie unicestwią i pozwól zachować to, co jest dla nas najważniejsze.

Historia Furtwänglera to także przyczynek do dyskusji o naturze obrazu. Koronnym dowodem kolaboracji dyrygenta miało być zdjęcie, na którym ściska dłoń Adolfa Hitlera. Dowód wydaje się bezsprzeczny, jest jednak mylący. Fotografia zrobiona została po koncercie, gdy Hitler sam wyszedł na scenę, żeby uściśnić dłoń zaskoczono dyrygenta. A wcześniej Furtwängler nie przyłączył się do tłumy, który oddawał swojemu wodzowi hołd nazistowskim pozdrowieniem.

Kontrapunktem dla złożonej osobowości Furtwänglera w filmie "Trudny wybór" jest postać amerykańskiego majora. Dla niego niemiecki muzyk jest po prostu zrem. Nie interesują go pobudki, którym się kierował jego adwersarz. Sprawa jest stosunkowo prosta: facet współpracował z nazistami, więc jest nazistą. A naziści mordowali Żydów w obozach, czyli on też jest za to odpowiedzialny. Zresztą przeciętnemu człowiekowi trudno zrozumieć to, że w takich czasach ktoś myśli tylko o tym, żeby nie dopuścić do upadku niemieckiej muzyki symfonicznej. Ostatecznie ten cel w sumie mu się udało osiągnąć, zwłaszcza że po wojnie mógł wrócić na kilka lat (Furtwängler zmarł w 1954 roku) do pracy ze swoją orkiestrą.

Całe szczęście, że zwykle trudne wybory nie są aż tak trudne.

**Sebastian Żurowski**

## SZKICE

Bernadetta Darska

# Jak Stanisław i Michał nagrody zdobywali...

Gdy czas nagród się zbliża, temperatura panująca w literackim światku mocno wzrasta. Wydawnictwa zacierają ręce, bo jeśli "nasz" autor znajdzie się w elitarnym gronie, to i "naszej" firmy prestiż wzrośnie, ów wybrany częściej będzie jeździł w turnee po Polsce, a piękna etykieta "nominowany do...", "laureat..." przyciąga, oj, przyciąga. Jak magnes, chciałoby się powiedzieć. Nakład książki wzrasta, boom na czytanie następuje, a czytelnicy zakupiwszy "nominowanego" bądź "laureata" mogą potem spokojnie spocząć na laurach, zapiąć portfele i omijać przez długi czas księgarnie z daleka. Atmosfera konkurowania i zawiści opada, przyjacielskie kontakty literackie należy kultywować, a któż nas wesprze najlepiej, jeśli nie my sami? To nie zadróż, to nie bieg po nagrody, przecież jesteśmy inni, różni i porównania między nami nie ma. Kto wygrał, ten zły, kto przegrał, ten dobry jest. Kto nie jest z nami, ten jest przeciw nam. Po plecach się poklepnij, po głowie podrapmy i do klawiatury zasiądźmy, by obwieścić światu,

jak to źle się stało, że "nasz" nie przeszedł, że wygrał "ich", że sprawiedliwości znowu zadość się nie stało.

Nominacje wypieki na twarzach wzbudzają, bicie serc przyspieszają, a znalezienie się w finale... Tu już emocje sięgają zenitu. Wszak zawsze wybór jest kontrowersyjny, zawsze dyskusyjny, zawsze mogło być inaczej. Nieliczni, zainteresowani literaturą, toczą spory, zawzięcie się wyklócają, swojego kandydata na piedestał wynieść chcą. Zawsze też się pojawiają posądzenia o zakulisowe decyzje, ustalenia, o upadły prestiż nagrody, która "właściwych" omija, z "niewłaściwymi" się brata.

A rok 2005 to rok szczególnie podatny na takowe niby-dyskusje i szczególnie istotny, trzeba to zaznaczyć. Przypomnę coś, czego nie trzeba chyba przypominać, Nagroda Nike trafiła w ręce Andrzeja Stasiuka, a Paszport Polityki w dziedzinie literatury w ręce Marka Krajewskiego. Obie uhonorowane postaci nie od dziś są znane w literackim świecie. Stasiuk wcześniej już nomino-

wany. Krajewski - autor cyklu kryminałów o Eberhardzie Mocku, których akcja dzieje się przedwojennym Breslau. W przypadku obu pisarzy ogłaszający decyzję błędnie przeczytali ich imiona. Henryk Bereza światu obwieścił, że Nike... Stanisławowi Stasiukowi przyznano, a Sławomir Shuty znacząco zawiesił głos po wypowiedzeniu imienia Michał, by następnie na Marek się poprawić. Choć słysząc pomyłkowe Michał, właściwie każdy z trójki nominowanych mógł oddech wstrzymać - Michał, Marek, Mariusz... W obu przypadkach kamery nie omieszkały uwiecznić reakcji: zaskoczono Stasiuka, który na Stanisława zaklął pod nosem, i bardzo rozczarowanej - z Marka powodu - kwaśnej miny Michała Witkowskiego. Wszak to Witkowski był faworytem, a w przypadku Nike "mówiono", że Kapuścińskiemu przypadnie w udziale nagroda. Tyle wychodzi z kuluarowego gdybania...

I bardzo dobrze. Stasiukowi należało się, w końcu. A Krajewski - cóż, przyznam, że był moim faworytem. Nagrodzono powieść kryminalną i to powieść bardzo dobrą. Świetny portret przedwojennego Wrocławia to na pewno, ale na uwagę zasługuje przede wszystkim postać Eberharda Mocka. Fascynujący antybohater, którego poznajemy na zasadzie retrospektywy. Alkoholik,

szantażysta, asekurant, męski bokser... Postać negatywna, a jednak mająca moc przyciągania. Mock zawsze w środku tajemniczych wydarzeń i coraz bardziej obrastający skorupą cynizmu i obojętności. Paszport Polityki dla Krajewskiego to także uhonorowanie "tej trzeciej", gorszej siostry, a mianowicie literatury popularnej. To wskazanie, że dobry kryminał to też sztuka i to ogromna.

No i uhonorowano powieść, ów zanikający współcześnie, jak wieszczą niektórzy, gatunek. Do tego projekt powieściowy zakrojony na szeroką skalę, wszak "Widma w mieście Breslau" to trzecia część wrocławskiej tetralogii. "Żydówek nie obsługujemy" Sieniewicza to przecież zbiór opowiadań, z których część znałszy w zmienionej formie z prasy literackiej, a "Lubiewo" Witkowskiego to bardziej parareportażowe opowieści Michała Literatki. Że nie nagrodzono upominania się o wykluczonych? Mówi to także w pewnym sensie człowiek z marginesu. A że nie wzbudził swoją książką tak dużych kontrowersji? Cóż, dyskusje nad książkami Sieniewicza, a zwłaszcza Witkowskiego, przeradzały się nazbyt często w dyskusje nie o literaturze, ale o społeczeństwie. Rezygnowano z literackich odczytań na rzecz czytania społecznego.

Występowanie w imieniu gejów w przypadku Witkowskiego jest jednak bardzo dyskusyjne, bowiem duże partie książki, gdyby czytać je wedle klucza społecznego, raczej podtrzymują homofobiczne uprzedzenia, niż je łamią.

Bardzo dobrze się stało w nagradzonym świecie. Rok 2005 można więc uznać za udany, skoro Stanisław i Michał nagrody zdobyli. A że tyłu osobom się to nie podoba? Cóż, taka już jest natura Polaków. Kontestować wszystko, oprotestowywać każde wydarzenie, szukać spisków i układów. Wystarczy przejrzeć komentarze internetowe - gdziekolwiek się

nie zajrzy tam zawiść króluje. W polskiej mentalności sukces wymaga sprzeciwu. Wspieramy się, gdy nam nie wychodzi, nienawidzimy tych, którzy sukces odnoszą. I szepczemy wtedy i knujemy, i dumamy, jak pomniejszyć zasługi, jak dopiec, dogryźć... A dlaczego - tak po prostu. Bo jak pisze jeden z internautów, który kibicował akurat Sieniewiczowi: "Witam, choć nie czytałem "Żydówek nie obsługujemy" (ale słyszałem fragmenty w Szczecinie :), ani kryminałów Krajewskiego (jakoś nie ciągnie mnie do kryminałów), to uważam, że z trójki finalistów to właśnie Panu

należał się Paszport. No jak nie Pan, to chociaż Witkowski ;-)". Skąd takie przekonanie? To już niech zostanie słodką tajemnicą czytających książki internetów. Ja osobiście bardzo się cieszę, że akurat Stanisław i Michał nagrody w 2005 roku zdobywali.

**Bernadetta Darska**

---

MADE BY BONK SIKACZ